

Od Redakcji

Spełniło się nam życzenie z chińskiej anegdoty: Obyś żył w ciekawych czasach! Wiele ciekawych rzeczy dzieje się *de publicis*, które i o nasze uczelniane podwórko tak zahaczają, że nie można pozostać na nie obojętnym. Rada Zakładowa zajęła stanowisko (które niżej prezentujemy) wobec oczywistych wypaczeń akcji lustracyjnej, oraz wobec ataków Ministerstwa Edukacji na nasz Związek. Rada przekazała także do naszej Centrali w Warszawie krytyczną opinię o założeniach do nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym. Opinia ta była ogromnie skondensowana, my przytaczamy nieco obszerniejsze omówienie ważniejszych momentów „Założeń”.

Aktualna jest kwestia pracowniczych programów emerytalnych, o których większość z nas wie bardzo mało. Dlatego kol. J. Marczak przygotował informację, którą zamieszczamy w niniejszym numerze.

Dalej informujemy o działaniach Rady Zakładowej oraz zamieszczamy rozmaite drobiazgi dotyczące na ogół spraw, które nam doskwierają.

* * *

Koledze doktorowi Ireneuszowi Kolendo życzymy
szybkiego powrotu do zdrowia i do pracy w naszym
zespołe, bo bardzo nam Go brakuje.

Na posiedzeniu w dniu 19 marca br. Rada Zakładowa z oburzeniem komentowała wypowiedzi wiceministra edukacji narodowej, które dwa dni wcześniej zostały wygłoszone na konferencji prasowej. Znaczna część tych wypowiedzi w nieuzasadniony sposób atakowała a nawet obrażała nasz związek. Rada poruciła Prezydium zadanie sformułowania wystąpienia, wyrażającego protest naszego środowiska wobec takich wypowiedzi. Wystąpieniu temu Prezydium nadało postać listu do wiceministra. Tekst listu przytaczamy poniżej.

Łódź, dnia 27 marca 2007 r.

*Panie Ministrze,
wypowiedź Pana na konferencji prasowej w dn. 17. 03. 2007 r., dotycząca Związku Nauczycielstwa Polskiego wywołała w naszym środowisku oburzenie. Rada Zakładowa ZNP w Uniwersytecie Łódzkim zobligowała prezydium do wyrażenia zdecydowanego protestu wobec tej wypowiedzi.*

Ze względu na poziom owego wystąpienia i wypowiedziane epitety nie będziemy z nim polemizowali, bo to poniżej naszej godności. Przypominamy tylko, że Związek Nauczycielstwa Polskiego istnieje już 102 lata, a w Uniwersytecie Łódzkim – 62. ZNP w latach zaborów odegrał dużą rolę w odradzaniu polskiej szkoły.

Nie złamały go represje zaborców, eksterminacja prowadzona przez okupanta hitlerowskiego ani ingerencje i naciski w okresie stalinowskim. W całej historii naszej organizacji nie ma takich wydarzeń, których musielibyśmy się wstydzić.

Na terenie Uniwersytetu Łódzkiego obecnie owocnie współpracujemy z NSZZ „Solidarność” i występujemy wspólnie w sprawach należących do kompetencji związków zawodowych.

Pańskie pomysły i pokrzykiwania narażają Pana jedynie na powszechną śmieszność. A jeśli Pan i Pana ekipa uparcie będzie chciała szkodzić niezależności ZNP, to są jeszcze instytucje odwoławcze, nie tylko w Polsce.

Życzymy Panu zdrowia, a w przyszłości przemyślanych wypowiedzi i decyzji.

Z poważaniem

P.S. Na marginesie pragniemy poinformować, że po ponownej rejestracji ZNP w UE pieniądze pozostałe po uczelnianym związku NSZZ „Solidarność” przekazaliśmy natychmiast w całości na konto budującego się wówczas Centrum Zdrowia Matki Polki.

W kwietniu Rada Zakładowa otrzymała odpowiedź wiceministra M. Orzechowskiego na powyższe pismo. Treść odpowiedzi przytaczamy bez komentarza.

Warszawa, 10 kwietnia 2007 r.

*Panie Prezesie,
W zasadzie mógłbym zacząć i skończyć ten list cytatem z Pańskiego pisma – „ze względu na poziom ... i wypowiedziane epitety nie będziemy ... polemizowali, bo to poniżej naszej godności”. Nie pozwala mi jednak na to szacunek dla partnerów – kim oni by nie byli. Pominę to, że jest Pan daleki od prawdy w ocenie historycznej roli ZNP w okresie stalinowskim. Panu radziłbym milczeć na ten temat, tym bardziej że ani jeden fakt nie potwierdza niezłomności ZNP wobec zniewalającego naszą Ojczyznę stalinowskiego terroru.*

Swego zdania o niegdysiejszej i obecnej roli ZNP nie zmieniam. Dyskusji nie podejmuję, bo przecież nie był Pan łaskaw podać choć jednego argumentu, który zasługiwałby na polemikę.

Nawzajem życzę Panu zdrowia i nieco więcej trzeźwych sądów, także na temat politycznych adwersarzy. Co prawda rozumiem Pana stanowisko, iż poglądy dzielą się na „słuszne, bo nasze” i „wrogie, bo nie nasze”. To smutna pozostałość wśród tych, którzy nie znaleźli w wolnej Polsce odtrutki na opary komunistycznej propagandy. I dlatego dodatkowo życzę: więcej rozważli, zrozumienia dla poglądów innych niż quasi lewicowe, porzucenia retoryki trącej duchotą przeszłej i skompromitowanej ideologii.

(podpisano)

wz. MINISTRA

SEKRETARZ STANU

Miroslaw Orzechowski

Stanowisko Prezydium RZ ZNP w UŁ w sprawie lustracji

Szaleństwo lustracyjne rozlewa się po kraju coraz szerzej. Wedle pierwotnych zamierzeń lustracja miała być operacją oczyszczającą, która zapobiegałaby przenikaniu do kręgów wywierających kształtujący wpływ na życie kraju i społeczeństwa takich ludzi, którzy splamili się w przeszłości wykorzystywaniem służb specjalnych do niegodnych celów i w haniebny sposób. W świętym zapale totalnego sprzątnięcia zapomniano, że każde państwo musi takie służby tworzyć i poprzez ich działania chronić bezpieczeństwo swojej egzystencji. Nie zadbano o jednoznaczne wyodrębnienie takich sytuacji, kiedy działalność tych służb i ich pomocników dokonywała się z naruszeniem prawa. Te sytuacje bezspornie powinny stać się przedmiotem zainteresowania prokuratury i sądów powszechnych. W sytuacjach, kiedy prawo nie było łamane, należało skrupulatnie odróżniać przypadki współpracy ze służbami motywowanej rzeczywistością (choć czasami naiwnie i łatwowiernie pojmowaną) troską o bezpieczeństwo i interesy państwa, od przypadków, kiedy taka troska była jedynie pozorem skrywającym chęć wykorzystania potęgi aparatu dla swoich grupowych lub indywidualnych interesów. O potrzebie takiego odróżnienia zapomniano, a w wielu przypadkach zapewne celowo zamykano mocno oczy, żeby tej potrzeby nie zauważyć i dzięki temu przekształcić lustrację z oczyszczającego narzędzia w broń, którą każdego można śmiertelnie porazić i przed którą każdy – czy winny, czy nie winny, bez różnicy – musi odczuwać obezwładniającą trwogę. Pierwotną ideę lustracji definitywnie zniszczyło włączenie mechanizmów lustracyjnych do toczących się walk politycznych i wykorzystywanie ich jako niezwykle skutecznego narzędzia eliminowania lub przynajmniej powszechnego zastraszenia przeciwników – zarówno tych rzeczywistych, jak i tych domniemyanych, a nawet tylko potencjalnych – po prostu wszystkich.

Takie instrumentalne wykorzystywanie lustracji budzi nasze oburzenie i sprzeciw. Solidaryzujemy się z wszystkimi środowiskami, które protestują przeciwko praktykom lustracyjnym podporządkowanym interesom określonych opcji politycznych. W szczególności wyrażamy poparcie dla tych kręgów w szkołach i uczelniach, które nie godzą się na lustrację wykorzystywaną jako zdalnie sterowany buldożer, przygotowujący stanowiska dla żądnych awansu niecierpliwych następców.

Uwagi w sprawie „Założeń do ustawy...”

Od drugiej połowy lat sześćdziesiątych raz po raz przychodzi mi uczestniczyć w powszechnej dyskusji nad ustawowymi uregulowaniami sfery szkolnictwa wyższego. A zatem obecna odsłona tego niekończącego się serialu zamyka piątą dekadę mojego udziału w kontredansie. Proszę się nie dziwić, że moje nadzieje na dopracowanie się dojrzałych owoców o jako tako trwałej wartości nie osiągają nawet poziomu umiarkowanego.

Uwagi generalne

Dokument zatytułowany „Założenia do ustawy o zmianie ustawy...” z natury swej musi mieć charakter ogólny, ale to nie znaczy, że powinien być ogólnikowy. Niestety, w mojej ocenie ma taki charakter, bo koncentruje uwagę na efektach, które miałyby być uzyskane pod rządami nowej ustawy, ale nader oszczędnie wypowiada się o nowych uregulowaniach, które powinny osiągnięcie tych efektów zagwarantować. Wobec tego „Założenia” w głównej mierze sprowadzają się do deklaracji intencji, a jako takie – nie stanowią pełnowartościowego materiału do dyskusji. Któż byłby tak nierozumny, by deklarować intencje inne, niż powszechnie akceptowane, którym można prorokować 99% poparcia? W ten sposób stwarza się pozory pełnego poparcia dla koncepcji, która ma jakoby stanowić ramowy szkielet dla szczegółowego opracowania projektu ustawy, a której dyskutujący w gruncie rzeczy nie znają. Do powszechnej dyskusji powraca się wtedy, gdy pojawia się wielostronicowy pełny projekt tekstu, zawierający setki artykułów, ustępów i punktów, w których roją się ukochane przez legislatorów odesłania typu „... o którym mowa w art. ..., z uwzględnieniem przepisów art. ... ust. ..., z wyłączeniem przypadków przewidzianych przez art. ... ust. ...”. W tym gąszczu jako tako porusza się garstka autorów projektu, natomiast ta prawdziwie powszechna dyskusja ogranicza się do stylistycznego gładzenia pojedynczych, szczegółowych punktów. W ten sposób dyskusja dotyka dwóch biegunów: niewątpliwie zbożnych i słusznych intencji nie do podważenia, oraz (głównie językowego) szlifowania oddzielnych sformułowań, przy którym łatwo można jednocześnie i demokratycznie kierować się głosem mas i zachowywać nienaruszoną istotę zapisanych w projekcie rozwiązań.

Istotny sens zawartych w projekcie uregulowań wymyka się w ten sposób z pola widzenia ogromnej większości uczestników dyskusji. Czy to efekt przypadkowy, czy celowo obrana strategia postępowania? Przyznaję się do starczego cynizmu i upatruję w tym działanie celowe. Zmienię zdanie, jeżeli w następnym etapie zostanie upubliczniony nie szczegółowy tekst projektu, a opis sensu przygotowywanej nowelizacji, na łącznie 15-20 stronach, charakteryzujący dla poszczególnych cząstkowych tematów:

- proponowany sposób uregulowania danego zagadnienia,
- zasadniczą różnicę propozycji w stosunku do stanu dotychczasowego,
- konkretny efekt, który ta zmiana ma przynieść.

Zmianę swojego zdania mogę śmiało obiecywać, bo jestem pewny, że nie będę do niej zmuszony.

Uwagi do wybranych zagadnień cząstkowych

Rekrutacja i egzamin wstępny

W „Założeniach” znajduję słuszną myśl, że egzamin wstępny ma sprawdzać nie wiedzę kandydata, a jego predyspozycje do studiowania. Niestety, ta słuszną myśl pozostaje niewykorzystana, bo zawarta w tychże Założeniach konkluzja głosi, że jedynym warunkiem niezbędnym dla przyjęcia na studia jest matura, a o przyjęciu decyduje kolejność na liście, wyznaczona przez uzyskaną liczbę punktów. Jak widać autorzy sami sobie zaprzeczają, bo wedle projektu przyjęty powinien być wysoko punktowany kandydat nawet jeżeli zupełnie nie wykazuje kierunkowych predyspozycji, natomiast nie zostanie zakwalifikowany na studia

fizyczne wybitnie uzdolniony fizyk, który zbierał niewiele punktów z budowy ciała jamochłonów, drugiej wojny punickiej i religii.

Od dziesiątków lat wiadomo, że matury z różnych liceów są nieporównywalne. Zdumiewająca była łatwowność tych, którzy dali sobie wmówić, że zmieni to nowa formuła jednolitej matury. Rzeczywistość dostarczyła licznych dowodów, że była to wiara w utopię. Nie będę pisać, co myślę o maturach amnestyjnych, bo wstydzilibym się poważnie zajmować się produktem ministerskiego geniuszu.

Reasumując – uważam za bezspornie uzasadnione przeprowadzanie egzaminu wstępnego przez uczelnię przyjmującą. Egzamin ten ma sprawdzać intelektualną zdolność kandydata do podjęcia studiów na wybranym kierunku, która może osiągnąć zadowalający poziom także wtedy, kiedy wiedza przekazana abiturientowi przez szkołę średnią nie okazała się idealna. Poleganie całkowicie na wynikach matury może zadowalać tych, którzy za cel najważniejszy a nawet jedyny uważają całkowite zapełnienie limitu przyjęć, bez względu na to, przez kogo miejsca te zostają obsadzone. A przy okazji: jeżeli świadectwa szkolne mają mieć jakiegokolwiek bądź merytoryczne znaczenie, poza czysto dekoracyjnym, to ze wszystkich świadectw (nie tylko dojrzałości) trzeba bezwzględnie usunąć oceny wystawiane za przynależność do kościoła jedynie słusznego i za zdyscyplinowane uczestniczenie w praktykach religijnych.

Egzamin magisterski a praca magisterska

Nie wykluczam tego, że mogą istnieć takie kierunki studiów, na których sugerowana przez Założenia rezygnacja z pisania pracy dyplomowej na rzecz egzaminu końcowego może być uzasadniona. Na znanych mi kierunkach taka rezygnacja byłaby żenującym nieporozumieniem.

Egzamin satysfakcjonująco spełnia zadanie sprawdzenia zasobu wiedzy nagromadzonej przez zdającego. Pod warunkiem przeprowadzenia go w odpowiedni sposób pozwala także zorientować się, czy zdający nie tylko zmagazynował w pamięci wiadomości, ale i potrafi nimi operować. Byłoby to wystarczające, gdybyśmy kształcili absolwentów przeznaczonych do działań typowo wykonawczych. Ale tę sferę działań w coraz większym stopniu przejmują komputery. Punkt ciężkości zadań stawianych przed pracownikiem z cenzusem akademickim zdecydowanie przesuwają się w kierunku generowania pomysłów, logicznie uzasadnionych i sprawdzonych przez poddanie ich krytycznej analizie. Potrzebnych do tego umiejętności egzamin nie jest w stanie sprawdzić chociażby z tego prozaicznego powodu, że nie sposób poświęcić na to niezbędnej ilości czasu. Samodzielne wypracowanie koncepcji wymaga pewnego czasu na dojrzewanie intuicyjnie rodzących się pomysłów, nierzadko trzeba wycofywać się z okazujących się nieefektywnymi ścieżek postępowania, itp. To doskonale daje się przećwiczyć w trakcie pisania pracy dyplomowej. Sądzę, że bardzo daleko idące analogie zaobserwujemy przy wykonywaniu projektu dyplomowego na studiach politechnicznych.

Uważam, że rezygnacja z pracy dyplomowej byłaby poważnym błędem. Ale konsekwentnie należy domagać się, żeby końcowemu sprawdzianowi umiejętności magistranta przywrócić charakter obrony pracy dyplomowej w pełnym tego słowa znaczeniu.

Postulując utrzymanie pracy dyplomowej i nadanie końcowemu egzaminowi charakteru obrony tej pracy trzeba z naciskiem przypomnieć, że kluczowym warunkiem powodzenia jest tutaj zapewnienie prawdziwego, nie tylko z nazwy, promotorstwa. Dzisiejsza technika oferuje przebogate możliwości posłużenia się najróżniejszymi „gotowcami”. Zachwalane komputerowe programy sprawdzające skutecznie wykrywają przypadki bezmyślnego przepisania tekstu (i to pod warunkiem, że wykorzystany wzorzec został zmagazynowany w elektronicznym zasobie), ale w przypadku przekazania własnymi słowami ukradzionych myśli „tracą węż”. Nie widzę lepszego i pewniejszego sposobu zapobieżenia

nieprawidłowościom, niż doprowadzenie do takiego stanu, kiedy praca dyplomowa powstaje w procesie systematycznego współdziałania dyplomanta z promotorem.

Żeby zaś to się powiodło, niezbędne są następujące warunki:

- odpowiedni promotor (to wiąże się z uwagami w sprawie kariery akademickiej)
- ograniczona liczebność seminarium dyplomowego
- należyte honorowanie działalności dydaktycznej nauczyciela akademickiego w ogóle, a w szczególności funkcji promotora i recenzenta.

Należyte pokierowanie dyplomem w trakcie przygotowywania pracy, a następnie przeprowadzenie obrony, która nie z nazwy a z istoty będzie obroną, jest nieporównanie trudniejsze i bardziej pracochłonne, niż przeprowadzenie typowego egzaminu końcowego.

Działalność uczelni a gospodarka

W tym zakresie Założenia wskazują trzy cele projektowanych zmian w ustawie: dostosowanie kształcenia do potrzeb gospodarki, zapewnienie dla studentów i absolwentów praktyk i staży zawodowych oraz powiązanie działalności badawczej z potrzebami gospodarki. Wszystkim tym celom należy przyklasnąć, ale zupełnie nie wiadomo, w jaki sposób ustawa miałaby przyczynić się do ich realizacji.

Dostosowanie kształcenia do potrzeb gospodarki wymaga przede wszystkim rozpoznania tych potrzeb i to nie tylko ich stanu bieżącego, ale prognozowanego z wyprzedzeniem o kilka – kilkanaście lat. To wyprzedzenie jest konieczne, aby zdążyć zaprogramować i uruchomić odpowiednie studia, przeprowadzić ich kilkuletni tok i wypuścić kilka roczników absolwentów, zanim ten profil studiów nie stanie się niepotrzebnym anachronizmem. Takiego rozeznania przyszłych potrzeb nie może dać bieżąca obserwacja rynku pracy. Trzeba zatem ustalić kto, w jaki sposób i na czyj koszt będzie takie prognozy potrzeb kształceniowych opracowywać. W tej kwestii Założenia milczą.

Zapewnienie praktyk studenckich i staży zawodowych było łatwe w gospodarce z dominującym udziałem własności państwowej, gdzie można było wykorzystywać administracyjne mechanizmy oddziaływania na jednostki gospodarcze. Obecnie nie jest to realne, a jakie instrumenty miałaby zamiast nich uruchomić przygotowywana ustawa – nie wiadomo. Podobnie rzecz się ma w przypadku wykorzystywania prac badawczych dla potrzeb praktyki.

A zatem w tej sferze Założenia przynoszą tylko hasła deklarujące pochwalną chęć osiągnięcia opisanych celów, ale nawet mimochodem nie wspominają, co powinno znaleźć się w ustawie, aby efektywnie służyła prawidłowemu urzeczywistnieniu tych zamiarów.

Nadzór nad szkołami wyższymi

Założenia pozytywnie oceniają osiągnięcia Komisji Akredytacyjnej. Nie przeczę, że mogła ona mieć pewne sukcesy, ale generalnie o skuteczności nadzoru sprawowanego przez ministra i PAKE jestem bardzo złego zdania. W warszawskiej Szkole Dziennikarskiej ciągnął się spór między dwoma rektorami, zakazującymi sobie wzajemnie wstępu do uczelni. Spór ten paraliżował działanie szkoły, a minister nie był w stanie przeciąć tego węzła. Podobnie w Jarosławiu od dawna wiadomo było, że działały się rzeczy karygodne, ale dopóki nie wkroczył prokurator, minister był bezsilny. Podobnych przykładów dałoby się znaleźć więcej. PAKA przeprowadza okresowe kontrole szkół, ale tajemnicą poliszynela jest, że częściej niż rzeczywistość widzi stan taki, jaki jej chcą pokazać inspekcjonowane szkoły.

A jak ma być rozwiązana sprawa nadzoru w nowej ustawie? Ten temat Założenia skwapliwie omijają, jak minę podłożoną na środku drogi. Utrzymuję, że jeżeli nie zostanie zaproponowana koncepcja nadzoru z jednej strony działającego sprężysto i rygorystycznie, a z drugiej strony nie preradzającego się w dyktaturę przekreślającą samodzielność uczelni, to skuteczność nowelizacji będzie porównywalna z leczeniem złamanej kończyny przez przykładanie kompresu na czoło ofiary.

Konsolidacja uczelni

Sprawa połączeń uczelni przedstawiana jest w Założeniach jako ważne przedsięwzięcie w strategii doskonalenia szkolnictwa wyższego, ale formy połączeń i ich walory opisane są bardzo mętnie.

Jedną z propozycji to łączenie małych jednostek w większe. Pamiętam z Materializmu dialektycznego, że zmiany ilościowe przechodzą w zmiany jakościowe, ale bez żadnej gwarancji, że nowa jakość okaże się doskonalsza od poprzedniej. Czy więc zawsze warto się łączyć? Założenia napomykają, że lansowanie połączeń spowodowane jest m.in. przez demograficznie uwarunkowany spadek liczby kandydatów na studia, utrudniający rekrutację do uczelni w mniejszych miastach. Ten fakt przyjmuję do wiadomości, ale czy z niego miałyby wynikać, że fuzja uczelni ułatwi w tych miastach rekrutację?

Drugi wariant to przyłączenie słabych uczelni do mocnych w nadziei, że promieniowanie cnoty dobrej jednostki uzdrowi tę kiepską. Ale z drugiej strony wiadomo, że wystarczy jedno zgniłe jabłko w skrzynce zdrowych, aby wkrótce całą skrzynkę jabłek trzeba było wyrzucić. Co powinno przeważać: czy nadzieja na sukces, czy obawa ryzyka? Założenia nie dostarczają mi argumentów, pozwalających którejs z tych ewentualności przypisać większe prawdopodobieństwo.

Trzecia możliwość to partnerstwo publiczno-prywatne, polegające na tworzeniu niepublicznych wydziałów w publicznych uczelniach. Ten nietypowy twór powinien być przede wszystkim wyraźnie opisany, a w Założeniach nie znajduję żadnej charakterystyki tej hybrydy. Nie ma też żadnej informacji o korzyściach, jakie mogłoby przynieść takie właśnie połączenie. Natomiast sam potrafię sobie wyobrazić, jak kuszące okazje do różnych nadużyć może stwarzać taki mariaż. Zdumiewa mnie, że Założenia ani słowa nie poświęcają potrzebie i możliwościom zabezpieczenia się przed nieprawidłowościami, jak gdyby żadne zagrożenia tej formie nie towarzyszyły. Czy to jest jeszcze optymizm, czy już karygodna lekkomyślność?

Reasumując – zostałem poinformowany o możliwościach konsolidowania uczelni, ale zupełnie nie wiem, dlaczego miałbym popierać wprowadzenie do ustawy uregulowań możliwości te promujących. Czyżby chodziło o to, by rzucić hasło i uzyskać dzięki temu alibi, że kwestia konsolidacji została wysunięta do dyskusji, ale zrobić to w tak „opływowy” sposób, żeby w żadnym wypadku prawdziwej dyskusji na ten temat nie sprowokować?

Doktoraty i habilitacje, kariera akademicka

Słuszna jest konstatacja o trafiających się słabych doktoratach i habilitacjach. Nieskuteczne będą jednak próby zaradzania temu, koncentrujące uwagę na samych rozprawach, finalizujących etapy zdobywania kolejnych stopni naukowych. Klucz do właściwego ukształtowania nauczyciela akademickiego leży w pierwszych latach jego pracy zawodowej. Ustawa powinna jednoznacznie nakładać na przełożonego obowiązek otoczenia opieką początkującego nauczyciela, zapewnienia mu pomocy w rozwiązywaniu problemów dydaktycznych, oraz wdrożenia go do sumiennego, rzetelnego wykonywania obowiązków. Również ustawowo powinien być uregulowany system hospitacji. Każdy pracownik naukowo-dydaktyczny do stanowiska adiunkta włącznie powinien być hospitowany w trakcie prowadzenia zajęć nie mniej niż dwa razy w semestrze. O każdej przeprowadzonej hospitacji powinna być sporządzona informacja na piśmie, zawierająca opinię o sposobie prowadzenia zajęć, dostępna dla hospitowanego. Przełożony obowiązany jest odmówić przyjęcia opinii zdawkowej i powierzchownej.

Słuszna jest krytyka „koleżeńskich” recenzji doktorskich i habilitacyjnych, ale należy dostrzegać także szkodliwość recenzji napastliwych i „czepialskich”. Krytycznie ocenić należy też (najczęściej chyba spotykane) recenzje „unikowe” i nijakie, które nie angażują się zdecydowanie ani w eksponowanie istotnych walorów pracy ani w wytykanie jej słabości, meritum pracy traktują zdawkowo, a dla wykazania się gorliwością wyszukują pracowicie

powody do zgłaszania mnóstwa uwag czwartorzędnej wagi. Otwarta pozostaje kwestia, jakie formalne uregulowania należałoby wprowadzić czy to do ustawy, czy do przepisów innego rzędu, aby skutecznie przeciwstawić się powstawaniu recenzji obciążonych opisanymi wadami.

Nie wypowiadam się w bardzo gorąco dyskutowanej kwestii, czy potrzebna jest habilitacja jako kolejny próg selekcyjny o specyficznym, sobie właściwym zadaniu. Natomiast kategorycznie sprzeciwiam się traktowaniu jej jako progu uzupełniającego, naprawiającego błędy niewystarczająco selekcyjnego doktoratu. Takie jej traktowanie to właśnie bezpośredni dowód, że nie habilitacja jest potrzebna, tylko podniesienie rygorystyki doktoratu. W tym świetle uważam, że gdyby habilitacja miała być utrzymana, to należałoby zredefiniować jej zadania tak, aby było oczywiste, że jest to rodzajowo odmienna próba, a nie doktorat poprawkowy.

Niezbędność mechanizmu rekompensowania nierówności

Oparciu gospodarki na zasadach rynkowych towarzyszy tendencja do wprowadzania konkurencji między uczelniami jako sposobu zapewnienia sobie przez nie dostępu do niezbędnych dóbr. Wiąże się to z nadzieją, że mechanizm konkurencji skutecznie wymusi racjonalizację działań uczelni i doprowadzi do tego szybciej oraz sprawliwiej, niż sterowanie poprzez działania administracyjne. Jednak łatwo zapomina się o tym, że owszem, konkurencja działa szybko i skutecznie, ale sprawliwa jest tylko wtedy, kiedy konkurentom zapewniono równy start, a warunki ich działalności są porównywalne.

Ekonomiczne warunki funkcjonowania szkół wyższych są – zwłaszcza od czasu wprowadzenia studiów odpłatnych – ogromnie zróżnicowane. Niektóre kierunki studiów wymagają ponoszenia ogromnych kosztów (np. aparaturowych), które nie występują na innych kierunkach. Pewne kierunki kształcą studentów w bardzo potrzebnych specjalnościach, co wiąże się z łatwością znalezienia przez absolwentów atrakcyjnej pracy. Te kierunki oblegane są przez kandydatów podejmujących studia, także w trybie odpłatnym, podczas gdy inne miewają trudności z wypełnieniem limitów na studiach dziennych. W rezultacie te uczelnie, które wyspecjalizowały się w prowadzeniu kierunków tanich a atrakcyjnych dla płacących czesne studentów mają się jak pączek w maśle, a wiele innych może im tylko zazdrościć.

W takiej sytuacji „niewidzialna ręka rynku” stwarza bardzo silne zachęty do tego, aby z programu szkoły eliminować, a przynajmniej zredukować do minimum, kierunki kosztochłonne a nie przynoszące przychodów. Postępowanie takie jest z komercyjnego punktu widzenia absolutnie racjonalne. Pytanie, czy to samo da się o nim powiedzieć z punktu widzenia potrzeb ogólnospołecznych, zwłaszcza postrzeganym w dłuższym horyzoncie czasowym.

Tendencjom takim można przeciwstawić się przy pomocy oddziaływań administracyjnych, ale poleganie głównie na nich byłoby poważnym błędem, zwłaszcza jeżeli nie chcemy drastycznie ograniczać samodzielności szkół. Potrzebny jest zatem mechanizm ekonomicznego wspierania tych szkół, które służąc długookresowym potrzebom ogólnym dźwigają garb studiów nieopłacalnych. Dopóki nie zostanie zbudowany system skutecznego rekompensowania różnic w kosztach oraz w dochodach, niekontrolowany mechanizm konkurencji więcej stwarza zagrożeń i rodzi nieprawidłowości sięgających nawet patologii, niż przynosi pożytku.

Moim zdaniem jest to jeden z fundamentalnych problemów wymagających pilnie rozwiązania, stojących przed szkolnictwem wyższym. Tymczasem założenia nie zwracają nań zupełnie uwagi, jak gdyby ta sprawa była całkowicie nieobecna w świadomości autorów. W żaden sposób nie potrafię zrozumieć, jak mogła powstać taka luka, która może pod znakiem zapytania postawić sensowność zamierzonej nowelizacji ustawy.

Odpłatność za studia

Kwestia odpłatności za studia – punkt zapalny, budzący wielkie emocje i wywołujący namiętne spory, w Założeniach w ogóle nie istnieje. Dlaczego nie dowiadujemy się, jakich uregulowań w tym zakresie możemy spodziewać się po przygotowywanej nowelizacji?

Konkluzja

Założenia usiłują przekonać mnie, że ich autorów ożywiają najlepsze chęci. W nielicznych tylko kwestiach pozwalają mi zorientować się, ku jakim koncepcjom miałyby zmierzać konkretne uregulowania ustawowe. Zupełnie nie informują mnie, na czym opiera się wiara, że zamierzona, znowelizowana ustawa będzie przyczyniać się do urzeczywistnienia owych najlepszych chęci.

Tu nie ma praktycznie miejsca na uwagi do projektu, można co najwyżej snuć własne impresje (co i starałem się uczynić).

Bolesław Liwowski

Pracowniczy Program Emerytalny w Uniwersytecie Łódzkim

W 2004 roku Sejm uchwalił ustawę o Pracowniczych Programach Emerytalnych (PPE)¹. Do PPE mogą przystępować także uczelnie państwowe. Z takiej możliwości chce skorzystać także Uniwersytet Łódzki, który spełnia wszelkie warunki określone przez ustawodawcę. Z inicjatywy pracodawcy, którego reprezentuje p. Kanclerz Alicja Korytkowska, został powołany zespół składający się z delegatów obu związków zawodowych oraz przedstawicieli centralnej administracji uniwersyteckiej, którego zadaniem jest opracowanie projektu umowy zakładowej o wdrożeniu w Uniwersytecie Łódzkim Pracowniczego Programu Emerytalnego oraz wybór instytucji finansowej zarządzającej środkami gromadzonymi w programie na podstawie umowy z pracodawcą.

Idea programu sprowadza się do oszczędzania w ramach III filaru systemu emerytalnego. Program jest tworzony w celu gromadzenia pieniędzy uczestnika na przyszłe świadczenie emerytalne zwolnione z podatku od zysków kapitałowych. Gromadzone środki będą inwestowane w celu ich pomnażania. Sposób inwestowania będzie miał wpływ na wysokość zgromadzonego kapitału. Niezależnie jednak od wysokości zgromadzonego kapitału będzie on, w momencie jego wypłaty, zwolniony z opodatkowania.

W programie będzie mógł uczestniczyć każdy pracownik, który jest zatrudniony w UŁ co najmniej 15 miesięcy i nie ukończył 70 lat. Przystąpienie do programu jest dobrowolne i następuje w formie pisemnej deklaracji. Pracownik może uczestniczyć w więcej niż w jednym PPE u innych pracodawców, jeżeli przystąpili do takiego programu.

Wysokość składki miesięcznej, która może przybrać formę kwotową lub procentową, nie może przekroczyć 7 % wynagrodzenia pracownika. Zespół opowiada się za składką kwotową. Pracownik może również gromadzić oszczędności w ramach składki dodatkowej. Pozwoli to w przyszłości otrzymywać wyższe świadczenia emerytalne. Składka jest pobierana nie z dochodów pracownika, który przystąpił do PPE, ale z środków Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych. Ponieważ w myśl przepisów ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych jest to dla pracownika dochód, kwota składki jest opodatkowana. Wysokość podatku od składki jest uzależniona od łącznej wysokości dochodów pracownika. Biorąc pod uwagę, że wysokość składki będzie dość niska, zatem i skutki podatkowe też będą niskie.

Pieniądze zgromadzone w ramach PPE mogą być wypłacane w całości lub w ratach w chwili osiągnięcia przez pracownika 60 lat, lub po ukończeniu 55 lat i uzyskaniu

¹ Dz.U. z dnia 24 maja 2004 r. Nr 116 poz. 1207 z późn. zmianami.

wcześniejszych uprawnień emerytalnych, lub po ukończeniu 70 lat, gdy pracownik nie wystąpił z wnioskiem o wypłatę środków.

Ustawodawca zadbał, aby środki gromadzone w ramach PPE były bezpieczne. W szczególnych przypadkach wypłata środków może zostać dokonana w postaci:

- wypłaty na rzecz spadkobierców lub osób uposażonych - w przypadku śmierci pracownika;
- wypłaty transferowej do PPE u nowego pracodawcy lub do PPE tego pracodawcy, którego pracownik jest równolegle uczestnikiem (będąc zatrudnionym u więcej niż jednego pracodawcy);
- wypłaty transferowej na Indywidualne Konto Emerytalne (IKE) - gdy uczestnik danego PPE przestaje być pracownikiem dotychczasowego pracodawcy;
- zwrotu środków w przypadku likwidacji programu (u danego pracodawcy).

Środki gromadzone w ramach PPE mogą być zainwestowane w jednej z czterech form, przy czym w Polsce najpopularniejsze są dwie formy: forma ubezpieczeniowa - gdy rolę podmiotu zarządzającego pełni zakład ubezpieczeń (na ok. 1100 PPE tę formę wybrało ok. 800 przedsiębiorstw) lub forma funduszu inwestycyjnego - gdy zarządzaniem środków zajmuje się towarzystwo funduszy inwestycyjnych (TFI). Wybór formy inwestowania środków jest jedną z najważniejszych decyzji przy tworzeniu PPE. Istnieją bardzo silne argumenty zarówno za jedną, jak i za drugą formą.

Forma funduszu inwestycyjnego polega jedynie na przynoszeniu dochodów z lokat w różnorodne instrumenty finansowe oferowane na rynku kapitałowym. Istnieje bardzo wiele różnych instrumentów o zróżnicowanej dochodowości. Naturalną praktyką jest przenoszenie środków z jednych funduszy do drugich, co wiąże się nie tylko ze zmianą ryzyka, ale także dodatkowymi kosztami manipulacyjnymi, tradycyjnie pobieranymi przez TFI. Fundusze inwestycyjne są najbardziej dochodowymi formami oszczędzania, ale związane jest to, z punktu widzenia PPE, z brakiem jakichkolwiek dodatkowych ofert ze strony instytucji finansowej. Właścicielami środków gromadzonych w funduszach inwestycyjnych są pracownicy, a nie towarzystwa zarządzające.

Forma ubezpieczeniowa, z kolei, związana jest z grupowym ubezpieczeniem na życie powiązaniem z funduszem kapitałowym. W tej formie można wskazać dwie jej funkcje: ochronną (zabezpieczającą) oraz inwestycyjną. Funkcja ochronna związana jest z grupowym ubezpieczeniem na życie. Za niewielką dopłatą można uzyskać dodatkową ochronę ubezpieczeniową życia i zdrowia uczestnika. Łączny koszt ochrony nie może być wyższy niż 15 % wpłacanej w ramach PPE składki. Programy w formie ubezpieczeniowej oferują różne opcje inwestycyjne – kapitałowe fundusze ubezpieczeniowe. Uczestnik PPE w formie ubezpieczeniowej ma prawo do lokowania części inwestycyjnej składki (85 %) do kilku funduszy inwestycyjnych jednocześnie, do zmiany alokacji nowo wnoszonych składek oraz do przesuwania środków (zgromadzonych na rachunku uczestnika) między funduszami.

Przystąpienie do PPE przynosi korzyści zarówno pracodawcy, jak i pracownikowi.

Korzyści z utworzenia PPE w zakładzie pracy dla pracodawcy:²

- PPE oznacza wzmocnienie prestiżu wśród potencjalnych inwestorów.
- PPE stanowi atrakcyjny dla pracodawcy element polityki płacowej, bowiem składki dodatkowe oznaczają podwyżkę wynagrodzenia dla pracowników, przy mniejszych kosztach.
- Kwoty składek podstawowych nie są wliczone do wynagrodzenia stanowiącego podstawę naliczania składek na ubezpieczenia społeczne (do 7% wynagrodzenia uczestnika).
- Wydatki poniesione na prowadzenie programu stanowią koszty uzyskania przychodu.

² Na podstawie informacji na stronie PZU <http://www.pzu.pl>

Korzyści z utworzenia PPE dla pracownika:

- PPE powinien zapewnić poczucie bezpieczeństwa finansowego, gdyż stanowi znaczące uzupełnienie przyszłej emerytury.
- Składki wpłacane przez Pracodawcę oznaczają podwyższenie wynagrodzenia nawet do 7%.
- Dochód z inwestycji oraz przyszłe świadczenie z tytułu PPE są zwolnione z podatku dochodowego.
- Pracownicy mogą zadeklarować składkę dodatkową i oszczędzać większe kwoty na cele emerytalne, co jest znacznie korzystniejsze od indywidualnego oszczędzania, poza PPE. Uczestnicy korzystają z przysługujących z tego tytułu ulg podatkowych oraz z niższych opłat manipulacyjnych.

Ponieważ projekt umowy zakładowej o wdrożeniu w UŁ Pracowniczego Programu Emerytalnego nie został jeszcze zakończony, więcej informacji nie można przedstawić. Gdy tylko zostanie podpisana umowa pomiędzy pracodawcą, reprezentowanym przez Rektora UŁ i przedstawicielami związków zawodowych działających w UŁ, reprezentujących pracowników, rozpocznie się akcja informacyjna i wówczas będzie można przedstawić konkretne rozwiązania. Niewątpliwie, PPE jest wart zainteresowania i wzięcia w nim udziału.

Jarosław Marczak

Dzień powszedni Rady Zakładowej

▪ W okresie od stycznia do maja 2007 najciekawszym i najmilszym wydarzeniem w działalności R.Z. było spotkanie z autorami i współredaktorami publikacji poświęconej 60-leciu istnienia uniwersyteckiej organizacji ZNP połączone z wręczeniem książki autorom i szanownym gościom m.in. członkom Kolegium Rektorskiego, z Panem Rektorem Wiesławem Pusiem na czele.

▪ W styczniu odbyło się posiedzenie Rady Zakładowej, na którym przyjęto sprawozdanie ogólne władz związkowych za rok 2006 oraz sprawozdanie finansowe za ten rok; przyjęto ponadto preliminarz budżetowy na rok 2007.

▪ Opracowano regulamin przyznawania zasiłków losowych, a także podwyższono wysokość zasiłków statutowych.

▪ Na posiedzeniach Prezydium R.Z. dyskutowano nad propozycją przystąpienia uczelni do pracowniczego programu emerytalnego. Sprawa ta nie jest jeszcze zakończona.

▪ Działając wspólnie z NSZZ „Solidarność” Rada Zakładowa wniosowała także, z sukcesem, o podwyższenie wysokości świadczenia socjalnego na dofinansowanie tzw. wczasów pod gruszą.

▪ Gorąca dyskusja dotyczyła projektu nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym, czego skutkiem było wysłanie pisma do Rady Szkolnictwa Wyższego i Nauki ZNP.

▪ W omawianym okresie odeszły ze Związku dwie osoby, wstąpiły 2 osoby oraz przywrócono członkostwo 2 osobom.

▪ Od stycznia do maja br. przyznano 15 zasiłków statutowych z powodu śmierci w rodzinach naszych członków. Zasiłki losowe przyznano w 13 przypadkach, w tym 11 przypadków było związanych z przejściem członka Związku na emeryturę.

Zostały dofinansowane spotkania koleżeńskie w Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców, w Wydawnictwie UŁ, na Wydziale Fizyki i Chemii w związku z przejściem członków Związku na emeryturę. Dofinansowano także spotkania organizowane przez Sekcję Emerytów.

Elżbieta Marciszewska

Od czegoż to mielibyśmy się odcinać ?

Niemądre wypowiedzi Mirosława Orzechowskiego nie zasługiwałyby na nic więcej poza uśmiechem politowania i wzruszeniem ramion. Co najwyżej niektóre z nich mogłyby wywoływać szczere rozbawienie, gdyby zostały opublikowane w rubryce „Humor zeszytów szkolnych”. Ale sytuacja zmienia się diametralnie, kiedy takie teksty wychodzą z ust Mirosława Orzechowskiego – wiceministra w rządzie Rzeczypospolitej Polskiej. W tym kontekście nawet komizm niektórych wypowiedzi przestaje być zabawny i nie można poprzestać na ich lekceważącym zbagatelizowaniu.

Epoki PRL-u imć pan Orzechowski zdecydowanie nie cierpi. Popatrzmy więc ze strony profesjonalnych zainteresowań edukatora na jej początkowe, najbardziej niewesołe lata by rozeznać, co w panu wiceministrze taką *flamman hostilitatis* rozżega.

Ostatni w międzywojennym dwudziestolecu spis powszechny w roku 1931 zarejestrował wśród ludności w wieku lat 10 i więcej 23,1% takich, którzy ani czytać ani pisać nie umieli. W latach pięćdziesiątych analfabetyzm jako zjawisko nie występuje.

Liczba przedszkoli wynosiła 1.659 w roku 1937, 6.265 w roku 1949 i 8.466 w roku 1955. W latach tych liczba dzieci w przedszkolach wynosiła odpowiednio: 83.338, 289.832 i 377.804.

W roku szkolnym 1937/38 nauczaniem objęto 14% młodzieży w wieku 14–17 lat, w roku 1949/50 – 40,7%, a w roku 1955/56 – 43,8%.

W roku szkolnym 1937/38 szkoły podstawowe opuściło 127,1 tys., a licea ogólnokształcące 14 tys. absolwentów. W roku 1949/50 odpowiednie liczby to: 216,6 tys. oraz 17,2 tys. Absolwentów

W roku szkolnym 1937/38 w szkołach wyższych studiowało 43.238 osób, a roku 1955/56 134.554 osoby.

Łączny nakład książek i broszur w roku 1937 wyniósł 29.153 tysiące, a w roku 1949 – 72.905 tysięcy.

Liczba tomów w bibliotekach publicznych w roku 1937 wynosiła 1,7 mln, w roku 1946 – 1,1 mln, a w roku 1949 – 6,6 mln.

Księgozbiory szkolne liczyły 7,6 mln wolumenów w roku 1938, 5,2 mln w roku 1949 oraz 29,9 mln w roku 1954.

A wszystko to dokonało się – przypomnijmy ludziom z krótką pamięcią – po prawie sześciu wyniszczających latach wojny i okupacji, przy ludności liczącej 34,5 mln w roku 1937, 23,9 mln w roku 1946, 25,0 mln w roku 1950 i 27,5 mln w roku 1955.

I to od takich osiągnięć chcesz, waszmość panie Orzechowski, byśmy się odcinali? Czyś się waść blekotu objadł? A jeżeli nie, jeśli to nie mął szalejący *mentem* waszeci zaćmiewa, jeżeli iście tak mniemasz, to powiedz acan, jak to się dzieje, że z takowymi *iudicis* ciągle jeszcze w edukacyjnej dykasterii stolec wiceministra okupujesz?

Warto, by zwłaszcza ci, którzy zajmują oficjalne stanowiska, nie zapominali, że sposób, w jaki odmalowują rzeczywistość, w nie mniejszym stopniu niż o tej rzeczywistości, mówi o umysłowości i charakterze malarza.

Bolesław Liwowski

Lustracja domowym sposobem

We właściwym czasie nie wykazałem się wystarczająco dalekowzroczną ostrożnością, uległem podszeptom pychy i pozwoliłem wpisać swoje nazwisko do stopki redakcyjnej Incydentalnika. No i teraz mam pasztet – jestem redaktorem, a jako taki podlegam lustracji. Nie ma rady, muszę sporządzić rachunek sumienia.

Zaczynam od spraw formalnych, czyli od przynależności organizacyjnej. I już od razu mam krechę. Nie da się ukryć, należałem – najpierw do OM TUR, potem do ZMP i ZAMP (przez pewien czas młodzież akademicka stanowiła wyodrębnione ogniwo organizacji), a nawet do TPPR. Dno! Odległe to czasy, ale dla takich przewin nie ma przedawnienia. Sama zwyczajna przynależność wystarczyłaby, aby mnie ostatecznie pograć, a ja na dobitkę byłem przewodniczącym ZMP w swojej grupie dziekańskiej. Tu już nic nie trzeba dodawać.

Od strony usytuowania w strukturach organizacyjnych jest pełna jasność – jestem umocowany tak, że żadne suszenie nie pomoże. Trzeba jeszcze przyjrzeć się mojej działalności. Może tu obraz nie będzie tak kompromitujący.

Z usposobienia nie jestem bardzo ekspansywny, ale przyjazny słuchacz odblokowuje moje zahamowania. Widząc nastawione uważne ucho staję się gadatliwy. Dziś już wiemy, że większą część społeczeństwa stanowili funkcjonariusze wiadomych służb, więc mówiąc – bez wątpienia służby te informowałem. Innymi słowy – osobowe źródło informacji jak w pysk dał, nie do podważenia.

Rzecz nie ogranicza się do ulotnego słowa mówionego, zostały bowiem także ślady na papierze. Na każdej instrukcji związanej z wyjazdem zagranicznym składałem podpis pod zobowiązaniem, że zamelduję po powrocie o zdarzeniach obowiązkiem meldunkowym objętych. Jest zobowiązanie do współpracy, więc jest i współpracownik, jak najbardziej.

Nie ma natomiast dokumentów świadczących o współpracy. Jeżeli nie istnieją, to jest to niezbity dowód, że zostały zniszczone. Jeżeli je zniszczono, to dlatego, żeby ukryć fakt współpracy. A jeżeli współpracę ukrywano, to znaczy, że współpracownik był tajny. Czy trzeba czegoś więcej?

Dżentelmeni z faktami nie dyskutują. Trudno, trzeba się lustrować. Ale jak to uczynić, skoro nie ma sądu lustracyjnego? Jedyne wyjście, które mi pozostało, to przestawienie się na samoobsługę. Okazję do autolustracji mam codziennie, gdy spoglądam w lustro przystępując do golenia. Postanowiłem spróbować.

Przypatrzyłem mu się uważnie. Facet jak facet, nic nadzwyczajnego. Czoło, broda, uszy – takie sobie, nie ma na czym oka zatrzymać. Oczy – o, tu coś jest. Latają mu do góry, na dół, na boki, zaraz widać, że ma nieczyste sumienie. Moi rówieśnicy wiedzą, czego świadectwem są rozbiegane oczy i dokąd mogą zaprowadzić swego gospodarza. Trzeba brać się do roboty.

Czy się wstydzisz? – pytam surowo.

Czego? – pyta tamten, jakby nie rozumiał, o co chodzi. Zatwardziały taki, udaje, że nie wie, czego powinien się wstydzić. Widzę, że tu trzeba nacierać ostro. Aby pozbawić go tupetu nazwałem go bezczelnym postkomuchem, odpryskiem układu, pieszczochem niesłusznego systemu, a dla wzmocnienia efektu rzuciłem mięsem, czego ze względu na obyczajność dosłownie przytoczyć nie mogę.

Daj se luz – on na to – nie nadymaj się tak, bo ci raptura wyskoczy, powiedz spokojnie, o co ci chodzi.

To mnie rozgniewało. Przestałem bawić się w dyplomację, bez eufemizmów nazwałem go OZI i TW z dodatkiem stosownych przymiotników i odmalowałem w żywych barwach jego sylwetkę moralną, tak jak dzisiaj wypada ją postrzegać. Trochę spowaźniał. Czyżby udało mi się obudzić w nim poczucie winy?

Uważasz zatem – zaczął – że powinienem się wstydzić. Ale czego? Sykofantem nie byłem, a co do współpracy... Moja ojczyzna – bo PRL bez wątpiwości była moją ojczyzną – jak każdy inny kraj miała prawo a nawet obowiązek tworzenia służb strzegących jej bytu państwowego. Czy gdyby legalne działania tych służb wymagały skorzystania z pomocy kogoś spoza ich szeregów to miałbym moralne prawo od takiego współdziałania się uchylić? Moim zdaniem nie. I to ten pogląd stanowi według ciebie powód do wstydu? A wypchaj się! Lepiej zapytaj sam siebie, czy przypadkiem nie usiłujesz podliznąć się siłom będącym aktualnie u władzy, oportunisto jeden!

Ręce mi opadły. Przypadek beznadziejny, absolutnie niereformowalny. Powiedzcie sami: jak tu się autolustrować z takimi poglądami? Ani chybi – wywalą mnie z redakcji, jak amen w pacierzu!

B. L.

PS. Ja mogę sobie pokpiwać, bo jestem na emeryturze. Ale co mają począć koledzy zawodowo czynni?

Hibernacja Rady Pracowników

W numerze 1 (5) Incydentalnika donosiliśmy o powołaniu w UŁ Rady Pracowników ciesząc się, że otwiera się nowe, ciekawe pole dla działalności Związku. Obecnie zamierzaliśmy powrócić do tego tematu, przedstawiając nieco szerzej zadania i tryb działania przewidziany dla tego organu przez ustawodawcę, oraz informując o tym, jak nasza uniwersytecka Rada wyobraża sobie początkowy okres swojego funkcjonowania. Tu jednak spotkał nas zawód. Okazuje się, że niektórzy powątpiewają w to, czy instytucje takie jak szkoła wyższa mogą – nie popadając w sprzeczność z literą ustawy – tworzyć u siebie radę pracowników. Nic to, że mamy opinie biegłych w prawie twierdzące, że żadnej sprzeczności tu nie ma. Są wątpiacy (a może niechcący widzieć takiego organu?), więc „chwilowo” Rada nie może rozpoczynać działalności, bo trzeba czekać na ostateczne, autorytatywne rozstrzygnięcie. Rada jest unieruchomiona, popadła w stan hibernacji, a oczekiwanie na rozstrzygnięcie może się ciągnąć niezmiernie długo.

Nie posunę się do cynicznego stwierdzenia, że udało się Radę unieszkodliwić, ale trzeba realnie liczyć się z tym, że moment podjęcia przez nią działalności odsuwa się w przyszłość na nieprzewidywalną odległość. Świadomość tego skłania mnie do wysunięcia następującej propozycji.

Formalne wszczęcie działalności Rady Pracowników natrafia na przeszkody, ale problemy, którymi miałyby się zajmować, istnieją. Obydwa związki wytypowały grono osób, którym zdecydowano się powierzyć zajmowanie się tymi problemami. Może więc niech te osoby, jeżeli nie mogą formalnie stać się Radą, utworzą na przykład Międzyzwiązkowy Zespół do Spraw Samorządności Pracowniczej i w tej formie, wprowadzie nie usankcjonowanej przez ustawę, ale i nie zakazanej, prowadzą przewidzianą dla nich działalność.

Co prawda Zespół nie będzie mógł domagać się informacji dotyczących: „1) działalności i sytuacji ekonomicznej pracodawcy oraz przewidywanych w tym zakresie zmian; 2) stanu, struktury i przewidywanych zmian zatrudnienia oraz działań mających na celu utrzymanie poziomu zatrudnienia; 3) działań, które mogą powodować istotne zmiany w organizacji pracy lub podstawach zatrudnienia” (art. 13 ust. 1), tak jak mogłaby to uczynić Rada, ale nikt nie może zabronić mu zadawania pytań o interesujące go sprawy.

Rada miałyby prawo oczekiwać, że pracodawca przekaze jej informacje „ (...) w terminie, formie i zakresie umożliwiającym radzie pracowników zapoznanie się ze sprawą, przeanalizowanie tych informacji, (...) przygotowanie się do konsultacji” (art. 13 ust. 3). Nieformalnemu Zespołowi nikt takich informacji nie obiecuje, a już szczególnie niezręcznie byłoby prosić o informacje, które musiałyby być specjalnie opracowywane na życzenie Zespołu. Ale przecież można prosić o informacje pierwotne, znajdujące się w standardowej dokumentacji, które Zespół mógłby własnymi siłami przekształcić stosownie do swoich potrzeb. Wydaje mi się, że w takiej sytuacji nieudostępnienie poszukiwanych informacji byłoby zachowaniem tak nieeleganckim, że można się tego nie obawiać.

„ Pracodawca prowadzi konsultacje z radą pracowników w sprawach, o których mowa w art. 13 ust. 1 pkt 2 i 3” (art. 14 ust. 1), z czego wynika, że nieformalny Zespół na przewidziane w ustawie konsultacje liczyć nie może. Ponieważ jednak przeprowadzenie

konsultacji oznacza „ (...) wymianę poglądów oraz podjęcie dialogu między pracodawcą a radą pracowników” (art. 2 pkt 3), przeto niemożność ta nie wydaje mi się katastrofą. Przecież między pracodawcą a związkami zawodowymi wymiana poglądów i dialog są rzeczą normalną. Nie widzę żadnego powodu, dla którego do czasu ostatecznego wyjaśnienia statusu rady pracowników w uczelni nie mogłyby one odbywać się na podstawie spostrzeżeń i opracowań nieformalnego Zespołu.

Może więc warto spróbować? Przecież mamy wiosnę, pora budzić się ze snu zimowego.

Bolesław Liwowski

Więcej muzyki do życia publicznego!

Przez wiele lat ze wzruszeniem oglądałem relacje z uroczystej zmiany warty na Placu Piłsudskiego. Wskutek tego powstało i utrwaliło się we mnie przeświadczenie, że taki wspaniały ceremoniał jest zastrzeżony tylko dla tej okazji, kiedy to akcja rozgrywa się na wolnym powietrzu, na rozległym placu, przy udziale nie tylko przedstawicieli najwyższych władz, ale i tłumnie zgromadzonej publiczności, od posiwiiałych emerytów aż do niewinnej dziatwy. Wyjątkowy charakter tego wydarzenia znakomicie podkreślała jego oprawa muzyczna: marsz generalski, sygnały Wojska Polskiego i Służba Wartownicza, mające znaczenie daleko głębsze, niż tylko akompaniament podpowiadający określoną dynamikę działań.

Niedawno przekonałem się wszakże, jak bardzo niesłuszne było to moje mniemanie. Oto nie na wolnym powietrzu, lecz w pałacowej sali, niedostępnej dla przypadkowej gawiedzi, odbywała się uroczystość, również związana z *sui generis* zmianą warty, w tym przypadku – na ministerialnym stanowisku. Okazało się, że i w tych jakże odmiennych warunkach możliwe jest wprowadzenie podkładu muzycznego w wykonaniu umundurowanych fanfarzystów. Łzy wzruszenia napłynęły mi pod powieki. Byłem zachwycony! Gdy jednak ucichła burza emocji, ogarnęły mnie wątpliwości, czy aby trafnie został dobrany rodzaj tła dźwiękowego. Dzisiaj skłonny jestem sądzić, że bardziej stosowny byłby w tych okolicznościach akompaniament werbli. W przekonaniu tym utwierdza mnie ponad stuletnia tradycja podobnych widowisk. Znamienne jest przecież, że gdy wysoko nad piaskiem areny linoskoczek szykuje się do wykonania salto mortale, pod brezentem szapito milknie orkiestra i rozbrzmiewa tylko suchy grzechot werbla podkreślający dramatyzm sytuacji. A że i w ministerialnych karierach nie trudno o skręcenie karku, tedy analogia jest oczywista.

Widzę natomiast inną oficjalną operację, która także ma w sobie element zmiany warty i aż się prosi o polifoniczny podkład muzyczny, a nie wiadomo dlaczego traktowana jest po macoszemu. Mam na myśli zmianę osoby prowadzącej obrady izby poselskiej. Przecież to też jest warta powołana do pilnowania porządku. Zmiana ta obecnie odbywa się w zawstydzająco prozaiczny sposób, zupełnie nie licujący z wagą wydarzenia. Stanowczo powinien towarzyszyć temu przynajmniej skromny hejnał, podkreślający uroczysty charakter chwili i dodający powagi obejmującemu przewodnictwo.

Tu jednak rodzi się problem stosownej instrumentacji takiego utworu. Tradycyjnie zmianom warty towarzyszy orkiestra dęta. Ale taki skład charakterystyczny jest dla formacji mundurowych i jego wykorzystanie w cywilnym Sejmie budziłoby najzupełniej niestosowne skojarzenia, że oto parlament ma funkcjonować jak znakomicie wymusztrowana kompania reprezentacyjna, karnie i precyzyjnie poruszająca się jak jeden żołnierz. A przecież pojęcia musztry, dyscypliny i drylu z działalnością poselską nic nie mają wspólnego. Nie ma więc wątpliwości, że orkiestra dęta nie wchodzi w rachubę.

Unikniemy takich skojarzeń, proponując klasyczny skład orkiestry symfonicznej. Ale tu pojawia się inna trudność, prozaiczna lecz ważna: koszty! Jedna głupia harfa to wydatek, od

którego kręci się w głowie. Jak czuliby się posłowie, mający przygnębiającą świadomość miserii swoich uposażeń i diet (wszak realizujemy ideę taniego państwa), gdyby im przygrywała tak droga kapela? Trzeba zatem nastawić się na wybór instrumentów pochodzenia ludowego, łatwo dostępnych i znacznie tańszych. Godne polecenia wydają mi się cymbały i fujary. Ufam, że nie byłyby w parlamencie niemożliwe do zdobycia.

B. Liwowski

Czy wracać do Syzyfa ?

Od dłuższego czasu nie ucicha medialny spór wokół pomysłu wprowadzenia mundurków jako obowiązującego ubioru w szkole. Wśród wypowiedzi na ten temat (z którymi się zetknąłem), przeważają te, które do pomysłu odnoszą się sceptycznie. Ale ich krytycyzm jest na ogół mało radykalny, jakiś wahający, niepewny i niezbyt zdecydowany. Czy więc ostatecznie jest to chybiony pomysł, czy racjonalna koncepcja? A także - co dla mnie jest najważniejsze - co ja sam mam o tym myśleć?

Pierwszą impulsywną moją reakcją na wiadomość, że minister chce ubrać uczniów w mundurki, był odruch niechęci i sprzeciwu. Nie miałem wątpliwości, że idea mi się nie podoba, ale sam sobie nie umiałem konkretnie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego na nią tak alergicznie reaguję. Takie pozbawione racjonalnych podstaw nastawienie się a priori niechętnie do nowości nie przynosi mi chluby, więc postanowiłem być samokrytyczny. Zadałem sobie pytanie, czy to może fakt, iż nie czuję specjalnego nabożeństwa do osoby ministra, tak zeszpecił w moich oczach jego mundurkową inicjatywę. Nie mogę się wypierać - zjawisko takie miało miejsce, ale jego wpływ nie był wystarczająco silny, aby mógł przeważać pozytywne cechy mundurka, które przecież ja sam także dostrzegam i uznaję.

Długo mocowałem się z tym problemem, bo chyba łatwiej jest krytycznie analizować cudze poglądy niż swoje własne, ale wydaje mi się, że wreszcie trafiłem na istotę sprawy. Doszedłem oto do przeświadczenia, że to nie sam pomysł mundurków „jako taki” wywołał u mnie ten odruch sprzeciwu, ale otoczka w jakiej on się pojawił, czy też tło, na którym został zaprezentowany. Przecież poznaliśmy ten projekt jako cegiełkę w makroprogramie zatytułowanym „zero tolerancji”. Mundurek miał utrudnić niezauważalne przenikanie na teren szkoły niepożądanych gości. Nie jest to może argument o największym ciężarze gatunkowym, ale nie mogę odmówić mu racjonalności. Jednak znacznie ważniejszy jest inny podstawowy oczekiwany efekt: mundurki ma uczynić ucznia rozpoznawalnym na pozaszkolnym terenie! Jeżeli przedpołudniem flanuje na ulicy zamiast siedzieć na lekcjach - widać go. Jeżeli w parku ma na kolanach rozłoży podręcznik ale nie czyta, tylko wodzi cieleńco rozmarzonym wzrokiem za dziewczynami - oczywiście jest dla każdego, że karygodnie marnuje czas. Jeżeli w kinie próbuje wkręcić się na film dla dorosłych - bileter już z daleka odbiera sygnał ostrzegawczy. Jeżeli wieczorem wietrzy się w plenerze zamiast przykładowie grzać stołek w domu - łatwo padnie łupem trójki kontrolnej.

Wszystko to żywo przypomina relacje, które niegdyś wiązały w Klerykowie uczniów z inspektorami. Czyżbyśmy więc mieli wracać do epoki Syzyfowych prac? Czy naprawdę na takim właśnie efekcie nam zależy?

Moje osobiste doświadczenia z mundurkami są znikome. W pierwszych latach po wojnie nie było o nich mowy, nosiło się to, co udało się zdobyć, albo co odziedziczyło się po starszych. Funkcję identyfikacyjną zastępczo pełniły naszywane na rękawach tarcze z numerem szkoły. Nie cieszyły się sympatią u większości uczniów. Ich noszenie było obowiązkowe i od czasu do czasu sprawdzane. Dlatego chętnie przytwierdzano je agrafką, by nie podpaść kontroli, a po wyjściu ze szkoły szybko odpinano, aby jako anonimowa jednostka roztopić się w ulicznej społeczności.

Innym elementem znamionującym przynależność do szkoły były czapki. Te jednak w środowisku, w którym się obracałem, były odbierane w diametralnie odmienny sposób. Nie

tylko ich nie ukrywaliśmy, ale się nimi szczyciliśmy. Co prawda sposób w jaki to czyniliśmy, był nieco osobliwy i szokujący dla starszego pokolenia. Czapka szanującego się ucznia musiała być sumiennie wytyłana, a najlepiej mieć do tego nadłamany daszek. Tylko maminsynek, lizusek i „pierwszy uczeń” mógł paradować w czystej, wypiełgnowanej czapce. Ale to nie miało nic wspólnego z wrogim stosunkiem do nakrycia głowy. Poświadczając status ucznia czapka – także (a w naszych oczach zwłaszcza) ta srodze wymęczona - była przedmiotem dumy. Promocji z gimnazjum do liceum towarzyszyła zamiana czapki z niebieską wypustką na czapkę z wypustką czerwoną. Czy muszę przekonywać, że był to dodatkowy powód do dumy, widoczne dla wszystkich świadectwo wyższego stopnia nobilitacji?

Podobnie było w szkole wyższej. Rozpoczynając studia wcale nie z obowiązku kupowaliśmy czapki studenckie, ale żeby się nimi pysznić. Bez cienia wątpliwości wiedziałem, że moja zielona, aksamitna maciejówka z WSE jest lepsza i od rdzawobrazowej, aksamitnej maciejówki Polibudy i od białej sukiennej rogatywki Uniwersytetu. A dlaczego? To proste. Bo to była moja szkoła, a jej czapka mówiła wszystkim, że „ja” to nie jest jakieś tam anonimowe „ktokolwiek”, ale student WSE, członek określonej grupy społecznej, której splendor jakimś cząstkowym odbłaskiem spływa także na mnie.

Jeżeli uczniowska lub studencka czapka może być przedmiotem dumy, to nie widzę powodów, które wykluczałyby zdobycie takiej samej pozycji przez mundurek. Ale taka możliwość samorzutnie nie przekształci się w rzeczywistość. W dzisiejszych warunkach trzeba by włożyć sporo dobrze przemyślanego wysiłku, aby osiągnąć podobny odbiór szkolnego uniformu, ale wydaje się, że było to możliwe. Zamiast tego jednak „spalono” niezły pomysł, ukazując mundurek jako narzędzie do walki z patologią, pomagające ściśle kontrolować poczynania młodego człowieka. W takim świetle uczeń może być dumny z mundurka mniej więcej tak, jak skazany na karę ograniczenia wolności jest dumny z elektronicznej bransoletki na swojej nodze. Nie było warto tak się spieszyć z forsowaniem mundurkowej idei, dopóki nie był na szerszą skalę przygotowany psychologiczny grunt do jej życzliwego przyjęcia. Zmarnowano pomysł, a szkoda.

Gdyby posłuchano głosu rozsądku i zaniechano forsowania *per fas et nefas* koncepcji obowiązkowego mundurka, to powstałaby szansa uczynienia z niego pożytecznego instrumentu wychowawczego. Ale zaspokojenie ambicji inicjatora uniformizacji okazało się ważniejsze i oto mamy mundurek jako formalny oręż dyscyplinujący. Jeżeli kierownicy resortu wierzą, że osiągnęli w ten sposób prawdziwy sukces pedagogiczny, to można tylko pozazdrościć im dobrego samopoczucia.

Nieśmiertelny duchu Klerykowa, witaj w dwudziestym pierwszym wieku!

B. Liwowski

Raport o czyszczeniu

Z dawnych lat wczesnego dzieciństwa pamiętam, że na przedwiośniu przychodziły takie dni, kiedy z okolicznych wsi ciągnęły do miasta charakterystyczne beczkowozy z czterokopytnymi silnikami. Ich woźnice pracowicie wybierali nagromadzoną treść miejskich szamb i uwozili ją na swoje poletka. Śmierdziało przy tym serdecznie, ale jakże schludne i przyjazne odwiedzającym stawały się skromne sławojki, gdy tylko się nieco wywietrzyły, a deszcz spłukał rozchłapane ślady! A rosło na tym potem a rosło.

Ta akcja „wiosenna czystość” jak żywa stanęła mi przed oczyma, kiedy oto – a właśnie mamy wiosnę – dowiedziałem się o zwycięskim zakończeniu wielkiej bitwy z brudem. Raport doniósł mianowicie, że udało się wyczyścić augiaszowe stajnie pewnych na wylot przegniłych służb specjalnych. Czyszczenie było tak gruntowne, że nie tylko usunięto wieloletnie nawarstwienia nieczystości, ale udało się doszczętnie unicestwić same stajnie.

Niezmierzona w tym zasługa wodza owej batalii. Z bezgranicznym samozaparciem, lubując się w swej ciężkiej pracy, z masochistycznym zadowoleniem nurzał się aż do dna w odstręczających brudach. Nie baczył, że sam przy tym zajęciu do głębi nasiąkał nieusuwalnym fetorem. Oto wzór heroicznego poświęcenia!

Nie wątpię, że wdzięczne społeczeństwo już w najbliższej przyszłości nada Mu w dowód uznania honorowy tytuł Pierwszego Czyściciela Czwartej Rzeczypospolitej. Jeżeli zaś miłośnicy i znawcy dawnej, zapomianej z wolna polszczyzny będą mieli w związku z tym jakieś niezbyt sympatyczne skojarzenia, to jest to ich zmartwienie.

A przenosząc sprawę na pragmatyczną płaszczyznę działań operacyjnych – jeżeli Pierwszy Czyściciel i Zasłużony Destruktor WSI jest najlepszym, a teraz praktycznie i jedynym specjalistą od działań wywiadowczych i kontrwywiadowczych, to należy wcielić Go do jednostki udającej się do Afganistanu. Któż zdoła skuteczniej zapewnić ochronę tej jednostki przed wrogimi knowaniami?

L.B.

Klasyczne sentencje dzisiaj

Historyczne wypowiedzi wybitnych osobistości odzywają w poczynaniach VIP-ów naszej współczesności:

* * *

„Der bestirnte Himmel über mir und das moralische Gesetz in mir“

(*Immanuel Kant*)

„Der bestirnte Himmel über uns und das polnische Gesetz in unserer Macht“

(*Inicjatywy legislacyjne Prezydenta i Premiera RP*)

* * *

„L'État c'est moi“

(*Ludwik XIV król Francji*)

„Le droit c'est moi“

(*Minister Sprawiedliwości RP nr 3½ przed kamerami TV*)

* * *

„Right or wrong, my country”

(*admiral Stephen Decatur*)

„Right or wrong, my whip”

(*I wicepremier RP*)

„Right or wrong, my farm and my account”

(*II wicepremier RP*)

„Right or wrong, my Włoszczowa”

(*III wicepremier RP*)

* * *

EPŹP

Zamieszczamy nowe hasła rodzącej się Encyklopedii Polskiego Życia Publicznego:

Holota - eufemizm używany przez subtelного i dobrze ułożonego inteligenta z dziada pradziada wtedy, kiedy w głębi serca patriotycznie i po sienkiewiczowsku woła: hultajstwo! Motłoch! Czerń!

PTW - partie trzymające władzę, alias Prawopsuje, Traktorzyści, Wszechpolacy.

Czy znacie.....

Czy znacie bajeczkę o smoku wawelskim?

Znamy, znamy !

No, to poczytajcie.

W jamie pod Wawelem mieszkał smok. Krakowscy mieszczenie bardzo go lubili i na znak sympatii regularnie przysyłali mu nadobne dziewczęta z koszami pełnymi wszelakiego dobra. Za to mieli ze smoka pożytek. Gdy trzeba było kogoś przepłoszyć, smok ryczał tak straszliwie i tak przerażająco kłapał ogromnymi zębami, że największe kozaki i gieroje dostawali gęziej skórki i zmykali, gdzie pieprz rośnie. W chwilach wolnych od straszenia smok figlował wesoło na łące ku ucieście przypatrujących się temu krakowian.

Ale z czasem smok spowszedniał, przestał być pierwszą atrakcją grodu i mieszczenie coraz częściej zapominali o konieczności podtrzymywania jego kondycji. Smok chudł, marniał w oczach i robił się coraz smutniejszy. Jego ryk już nie przerażał, kłapanie chwiejących się zębów przypominało dziecięcą grzechotkę, a niezdarne podrygi osłabłego cielska miast uciechy, jak niegdyś, budziły tylko politowanie. Aż wreszcie któregoś dnia cichutko, bez żadnego wybuchu (ten wybuch to właśnie była bajka) biedny smok dokonał żywota.

Poniewczasie krakowian ogarnął żal, że tak przez brak życzliwego wsparcia zmarnowali niepowtarzalną *spécialité de la maison*. Sporządzili więc żeliwną figurę smoka, która nawet od czasu do czasu ziele prawdziwym ogniem. Ale znający się na rzeczy powiadają, że to jednak nie to co kiedyś. Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia!

Także i Wy macie swojego smoka. Na imię ma Incydentalnik. On także żeby żyć potrzebuje zasilania. Jest mniej wymagający od swojego wawelskiego kuzyna i nie upiera się koniecznie przy dziewczętach. I dziewczęta i chłopcy równie skutecznie mogą podtrzymać jego siły witalne, jeżeli są energiczni, odważni a nawet zادیorni, no i sprawni w piórze. A bez takiego dopływu świeżej krwi perspektywy Waszego smoka rysują się niewesoło. Już teraz widać, że jego mało urozmaicone ataki coraz słabsze wywierają wrażenie, figliki stają się coraz bardziej monotonne i niebawem nikogo (poza nim samym) nie będą w stanie rozśmieszyć. A to już będzie *finis draconis*, czyli ostateczny koniec smoka.

Jeżeli nie życycie takiego losu swojemu smokowi, to pilnie wzmocnijcie go zastrzykiem świeżych sił autorsko - redaktorskich. Będzie Wam dozgonnie wdzięczny.

Wasz smoczek Incydentalnik

Redaguje Zespół (Maria Nartowicz-Kot, Elżbieta Żółtowska, Ireneusz Kolendo, Bolesław Liwowski, Kazimierz Psarski) inspirowany, nadzorowany i ponaglany oraz cenzurowany przez Prezydium Rady Zakładowej. Redaktor odpowiedzialny – vacat.

Wydawca: RZ ZNP w UE, ul. Narutowicz 65a p.111. Skład, korekta i łamanie własne. Cenzura wewnętrzna. Druk ksero. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ewentualnych ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych nie zwraca i nie wypłaca wierszówek ani jakichkolwiek gratyfikacji. Drukuje jednak przedruki i teksty autorów, z którymi zwykle i nie zawsze się zgadza.